

Bohdan Czeszko — publicysta i pisarz, a jak się sam przyznaje, przyjaciel lasu i leśników zamieścił w miesięczniku „Nowe Książki” (4/1981) felieton—recenzję poświęcony naszej „Małej encyklopedii leśnej”. Przytaczam obszernie fragmenty aby przybliżyć zdanie nieprofesjonalisty, które bardzo może się przydać Komitetowi Redakcyjnemu, kiedy przystąpi do prac nad nowym wydaniem.

„Podjąłem się znów, bo kilkakrotnie to czyniłem, absurdalnego zadania redakcyjnego i co więcej za absurd ten jestem „NKs” mocno zobowiązany (...) Absurd polega na tym, że mam omówić encyklopedię. Jest to rzecz niewykonalna, z tej racji, że jest ona niewykonalna w ogóle. Encyklopedia już w ciągu całego mozolnego procesu jej powstawania podlega bezustannemu recenzowaniu a przecież w wielkim trudzie i mozole ukończono dzieło — owoc pracy wielkiej liczby osób kompetentnych i zazwyczaj bardzo utytułowanych naukowo, grzeszy niedoskonałością i musi grzeszyć nie tylko z racji takich czy innych niedopatrzeń, ale po prostu z racji upływu czasu dzielącego zamysł i jego realizację od chwili, gdy czytelnik dostaje rzecz do rąk.

Ale jest to jedyny sposób na to, by dostać egzemplarz takiej książki, bowiem wyszła ona w nakładzie trzydziestu tysięcy woluminów i na rynku jest i będzie nieosiągalna. Mowa jest o Małej Encyklopedii Leśnej. Nie jestem leśnikiem (czego wcale nie żałuję) ani „drzewiarzem” (czego też nie żałuję), ale od bardzo już wielu lat (...) mieszkam w lesie. Chlubię się tym, że mam wielu serdecznych przyjaciół wśród leśników i ludzi w ten czy inny sposób z racji swych zajęć z lasem związanych (...) Napisałem, że na szczęście nie jestem leśnikiem, i nie jest to wyraz deprecjacji tego trudnego zawodu, ale rezultat długoletniej obserwacji tego, czym jest praca tak zwanych terenowców a więc leśniczych wykonujących tę nieadministracyjną część roboty. Toczy się teraz jak Polska długa i szeroka zacięta dyskusja o wolnych sobotach, o czterdziestogodzinnym tygodniu pracy (...) A ja myślę o tych ludziach ślęczących, zwłaszcza teraz — zimą w czasie „żniw” leśnych do późnych godzin nocnych nad wykazami, nad kilogramami papieru, które muszą zapisać dro-

bnymi cyframi, obliczyć zarobki robotników leśnych, wozaków, traktorzystów, co jest tylko częścią tej całej pisaniny. Muszą to zrobić po dniu, który przecież spędzili lub powinni spędzić w lesie. Dopatrzeć zrębów, przecinek, czyszczeń i czego tam jeszcze... Nie mówiąc o tym, że jeśli mój leśniczy nie ma odpowiedzialnego pracownika, a często go nie ma, sam musi stuknąć cechówką każdy zwalony kłoc i wpisać do rejestru. Czterdzieści godzin pracy tygodniowo...

Ale nie z przyczyn wrodzonego mi lenistwa i niechęci do biurokratycznej bazarziny nie chciałbym być leśnikiem, lecz z przyczyn, o których w encyklopedii nie wyczyta się nic. Mam na myśli deprecjację tego zawodu (jak i wielu innych) w sensie społecznym. Nastąpiła ona stopniowo w ciągu wielu lat, kiedy to leśnik, mam tu na myśli oczywiście leśników z powołania — tych prawdziwych a nie biuralistów i konstruktorów w leśnictwie, zawsze zbawiennych w zamyśle i zawsze niewykonalnych w praktyce. Deprecjacja ta, lapidarnie rzecz ujmując, polega na tym, że leśnik z dawnego gospodarza lasu, stał się wykonawcą wszechmocnego PLANU, jego pokornym sługą, jego częścią w maszynistycznym sensie tego słowa (...)

Ale przejrzyjmy sobie Encyklopedię niechając pretensji, którym sprostać ona nie może ani nawet nie powinna próbować im sprostać, ponieważ musiałyby się stać nie zbiorem informacji, lecz zbiorem tekstów publicystycznych. Jest to pracowicie zrobiona encyklopedia, a mówiąc pracowicie — mam na myśli, że poszukujący znajdzie to, czego szuka podane w sposób możliwie zrozumiały dla człowieka spoza branży. Myślę także, że i wielu leśnikom mogłaby się przydać jako książka codziennego użytku, ponieważ i w tym zawodzie, jak w wielu innych występuje zjawisko wtórnego analfabetyzmu, po prostu rutyna codziennej roboty z rzadka rozciekawiana fachowym instruktorem, mówiącym o nowościach, zaniechanie lektury nawet tych ubogo wydawanych i nie zawsze dostępnych pism fachowych zastępowanej mnogością pouczeń, zarządzeń i innych pism ogólnych musi w końcu powodować atrofię wiedzy dawnej przyswojonej w tych jej obszarach, które nie służą bezpośrednio zgrzebnej codzienności (...) Czym jednak jest ta książka dla mnie i dlaczego wielce się ucieszyłem, kiedy mi ją wręczono, bo przecież nie muszę niczego specjalnego wiedzieć ani nikomu spowiadać się ze swych wiadomości o lesie i jego sprawach. Po prostu dlatego, że niekiedy natrafiam na pojęcia obce mi a nie lubię słów nie rozumieć albo nie rozumiem zjawisk czy zdarzeń, z jakimi się spotykam łażąc po lesie, ale myślę, że po pierwsze dlatego mi radośnie z tą książką, bo ja takie książki lubię (...)

Wspomniałem o słowach, których nie rozumiem, a chciałbym rozumieć. Od paru lat męczyło mnie słowo „bonitacja” (...) Jako człek bardzo dawno, ale jednak uczący się łaciny, mogłem sobie z grubsza wydedukować, o co chodzi, ale chciałem wiedzieć dokładnie, co to jest i było to pierwsze słowo, po które do encyklopedii sięgnąłem. Bonitacja jest to po prostu zasobność drzewostanu, jego jakość pojmowania w aspekcie wydolności siedliska, poziom „dobroci” lasu. Ponieważ jednak mamy tu do czynienia z oceną a więc owa bonitacja powinna być mierzalna. Notabene ta forma gramatyczna robi karierę ostatnio, kiedy dowiedzieliśmy się z ust pewnego ideologa, że ustrój socjalistyczny jest niereformowalny, od tego czasu coraz więcej rzeczy staje się „alnych” (...)

Wracając do mojej bonitacji, którą winno się mierzyć, natknąłem się na obszerny jak na encyklopedię artykułik temu mierzeniu bonitacji poświęcony. Rzecz okazuje się wcale nieprosta, choć leśnicy posługują się w tym celu z dawną opracowanymi tablicami (...)

Tak więc pierwsze słowo, po które sięgnąłem, już mi nasunęło masę refleksji niewesołych, ale myślę sobie, że nie będzie to regułą. Encyklopedia wydana jest na przeciętnym, to znaczy marnym poziomie poligraficznym. Papier jest marny i jako

tako dają się na nim reprodukować ryciny robione „na kreskę”, jak to nazywają drukarze, natomiast fotografie wyszły brudno i nieczytelnie. W encyklopedii jest nieco wkładek z dobrego papieru służących reprodukowaniu odbitek kolorowych (są tam też repliki z Wielkiej Encyklopedii Powszechnej), ale i tu przychodzi mi powiedzieć, że wiele kolorowych fotografii jest tak miernych w swej jakości, że zastanawiam się nad sensem ich reprodukowania. I jeszcze jedno, po przekartkowaniu encyklopedii. Zawiera ona wizerunki wszelkich ptaków, maleńkich, jak mysikrólik, i wielkich, jak bocian. Te wizerunki są wyłącznie czarno-białe. Jest to typowa niedoinformacja, szczególnie dotkliwa dla wszystkich, którzy lubią ptaki albo dla tych, którzy chcieliby je polubić. Szkoda, że ta nasza bieda edytorska tak ewidentnie dała tu znać o sobie. Wreszcie i to powiem, że nie wydaje mi się najszczęśliwym wyjściem z sytuacji alfabetyczny układ encyklopedii bez podzielenia jej choćby zgrubnego na działy problemowe, ogranicza to bowiem w sposób dotkliwy dydaktyczną wartość całej roboty. Wyobraźmy sobie na przykład, że znalazłem w lesie owada, o którym nic nie wiem. Muszę zdać się na przypadek i tak długo wertować cały tom, strona po stronie, aż natrafię na podobiznę, albo i nie natrafię, podczas gdy mógłbym szukać w dziele robactwu poświęconym. Ale chyba nie odkrywam tu Ameryki i ludzie konstruujący encyklopedię zastanawiali się nad tym i doszli do wniosku, że układ „jak leci” jest sensowniejszy. Tak więc trochę mi szkoda, że to w końcu ubożuchno wyszło, szkoda mi głównie dlatego, że tych encyklopedii tak mało wychodzi, szkoda mi ludzkiej roboty, bo znów niedorobiona.”